

# MARTYNA KISIEL

## Dożyciości

W LICHOTCE  
NORMALNOŚĆ ZACHOWAŃ  
NIGDY NIE OBOWIĄZYWAŁA.



Fabryka Słów  
www.fabrykaslow.pl

# Wsi spokojna, wsi wesoła... alleluja!

*Fahrenheit Crew*



Marta Kisiel

*Dożywocie*

Fabryka Słów, 2010

Stron: 376

Cena: 31,90 zł

Gdy już opuścisz, czytelniku, betonową dżunglę, zostawisz za sobą uliczne korki i zapomnisz o mieszkanku w wielkiej płycie, to – całkiem niedaleko, ot, ledwie parę godzin paskudnymi drogami – znajdziesz się w zupełnie innej okolicy. Lasy. Pola. Ludzie prości i życzliwi. Drewniane domy. O, właśnie, no przecież – Lichotka.

Czegóż my tu nie mamy? Persony bajkowe, ociekające wręcz nierealnością, bo przecież dostarczający media wszelakie i wściekle sprzątający anioł stróż, nie wiedzieć czy bardziej zdziecinniały, czy zidiociały, a do tego wiecznie zakatarzony. Albo potwór z otchłani odwiecznego zła w roli kucharza. Albo zbikowany na punkcie romantycznej poezji i prozy upiór-samobójca. Mało? W zderzeniu z agresywną normalnością nowego właściciela tej bajkowej nieruchomości, czy dajmy na to, jego totalnie rzeczywistym daewoo tico, mamy tutaj wręcz wybuchową mieszankę.

Ale... eksplozji nie ma. Jeśli szukasz, czytelniku, wartkiej fabuły pełnej akcji, to odejdiesz zawiedziony. Nie ma strzelanin i mordobić. Nie ma suspensów i nagłych zwrotów. Nie ma nawet latających wampirów i pościgów samochodowych. Fabuła, podzielona na kilka mniejszych części, toczy się leniwie, adekwatnie do sielankowości otoczenia. Wydarzenia i problemy, przed którymi staje Konrad, są z gruntu ludzkie i codzienne: jak wyremontować dom, jak zarobić na utrzymanie własne i reszty tałatajstwa, jak przeżyć morderczy atak różowego króliczka czy też jak się uchronić przed rabunkiem anioła. Szara codzienność, prawda? Do tego dochodzi sporo aluzji do bajek, powieści czy filmów oraz groteskowo przerysowane, a jednak jakże prawdziwe postacie agresorów zewnętrznych czy też agentki Konrada.

Aaa, jeszcze utopce. Wspominałem o utopcach? I hamadriada, tak. Nawet nie pytajcie.

Ale...

Każdy zna ten głos grający mu w myślach, w duszy. Gdy sobie idzie zwyczajnie i patrzy na świat, a skojarzenia płyną. I właśnie wtedy odbiór świata jest najprawdziwszy, najbardziej trafny. Myśli rozmaite, raz infantylne, raz wulgarne, czasem ckiwe, a kiedy indziej sprośne, ale przy tym jakże właściwie podsumowujące rzeczywistość. Gdy takie myśli przejdą swoistą obróbkę, by w efekcie pojawić się w wersji zwerbalizowanej czy też pracowicie naskrobanej na nośniku dowolnym, nigdy nie są już takie genialne, takie udane, takie celne. Nigdy? No dobra, zdarza się, ale rzadko, oj rzadko.

Gdy czytam słowa Marty Kisiel, jej sformułowania, podsumowania, uwagi, opisy i dialogi, czuję się, jakby używała moich własnych myśli, jakby wdarła mi się brutalnie do głowy i czerpała stamtąd pełnymi garściami. Ona mówi moim językiem, mówi to, co sam bym chciał powiedzieć, i w taki sposób, w jaki i ja bym to wyraził... gdybym potrafił. Słowa Marty w duszy grają. Gdy mam je przed oczami, wewnętrzne struny rezonują cichutko.

Dzięki temu stylowi, temu operowaniu językiem, wszystko nabiera sensu i zaczyna łączyć się w całość. Furda, że nie ma jednej spajającej całą powieść linii fabularnej. Że postacie bajkowe i przerysowane gryzą się z tymi rzeczywistymi. Że nawet straszne wątki pozbawione są grozy, bo klimatem przypominają bardziej kreskówki z Tomem i Jerrym, okładającymi się patelnią. Nieważne, że sielanka i groteska tańczą na przemian przed naszymi oczyma niczym gwiazdy w telewizyjnym programie o płasach rozmaitych. Nic to! Bo właśnie - język.

Dzięki niemu, dzięki słowom wyrwanym z mroku mego czytelniczego jestestwa, staję się bliskim uczestnikiem opisywanych wydarzeń. Zaczynam widzieć, czuć i przede wszystkim wierzyć, że to jest możliwe. Świat nierealny, zmyślony, stapia się z moim światem i dochodzę do wniosku, że też bym tak mógł: skubać anioła, pogłaskiwać krakena, pisać powieści (no, jakie to łatwe przecież, ino troszkę pracy), kopać w rzyć niewydarzonego upiora i unikać wszelkiego zła, jakie ściągnąć na mnie próbuje różowy króliczek. I rozglądam się wokół... I nadziwić się nie mogę - no jak to, ty nie masz anioła w domu? I ty - też nie?! Przecież każdy ma! Ja też mam... chyba.

I z obawą zaczynam otwierać pocztę, czy czegoś tam z sądu nie znajdę, bo może to spadek jakiś z dożywociem. Brr.

*Daniel Ostrowski*